

CO ROBI WITOS?

Od dłuższego już czasu Witos nie widać ani w sejmie, ani na trybunie sejmowej. Gdzieś się zapodział. Można by przypuszczać, że po „ciężkich rządach“ musi pan wójt odpoczywać nie tyle na wierzynach, ale poprostu na sianie w Wierchosławicach.

Wawrzyny bowiem nie były do pozazdroszczenia. Polityka Witos doszła do bankructwa; wieś za czynia się nań boczyc; zamiast parcelacji obszarniczej ziemi, doczekał się Witos parcelacji własnego „Piasta“ (własność prywatna obowiązuje—wyjątek z ewangelii generalnej Sikorskiego, który zapomniał dodać, że większa własność); z owych 400.000 hektarów corocznych życie, wraz z endekami, śmieje się do rozpuku; cała Polska zaczęła zgrzytać zębami; połała się krew na ulicach „rakowa“, skąd miał podobno wiać „wiatr“ od-rodzenia agrarno-ludowego, wzrosła liczba samobójstw łącznie z bezrobociem, dolar pędził, marka (nasza marka) leciała odwrotnie; chleb „taniał“—i działało się w myśl znanego proroctwa „coraz gorzej“.... Trzeba było więc opamiętać się w porę i zrobić w tył zwrot.

Witos nie jest w ciemni bity (w Poznaniu nie bili po ciemieniu i nie po ciemku) więc zorientował się w porę i zaszachowany rezygnacją swych własnych podkomendnych (np. rezygnacja Rataja z marszałkowstwa)—zrozumiał, że nie należy dalej brnąć, bo potem wybrnąć nie można. Przez siedem miesięcy Witos brnął z Chjeną pod rękę. I widzieliśmy wszyscy, jak ten dawniejszy działacz ludowy, sposobiący się na demokrację—coraz mniej miał wspólnego z demokracją polską (z wyjątkiem narodowej).

Zaszachowany przez wypadki, związany tajemnicą „umowy“, której wiecznie dotrzymywał, do końca (czasem tylko „buntując się“ w Tarnowie) prowadzony za rękę i pod rękę przez mistrzów polityczno-społecznych ceremonii: Dmowskiego i Korfańskiego—celebrował Witos obrzędy przeinaczania Polski „na prawo“ (stad „naprawa“) mimo, że Europa szła w innym kierunku.

Pochód polskiej reakcji, do którego Witos się przyłączył—depłtał wszystko, co posiał na ziemi naszej chłop i robotnik, pierwszy wódz nowej Polski. Wstępnictwo odrabiał „lewicowość“. Wykorzeniali „piłsudczyznę“. Uprawiali agitację na rzecz „silnej ręki“. Milczeli przy marmurowej tablicy, umocowanej w ścianie seimu ku czci Narutowicza. Pieściwą rękę mieli dla nie-nasytnych królów kapitału, a szorską dla głodujących robotników (Łódź, Tarnów, Borysław). Puszczono wolność zgnomadzeń. Niszczono prasę. Szczuło przeciw mniejszościom. Podzielono wojnę na „wierne“ i „miewierne“. Tolerowano spiskowców Pogot. P. P.—M. M.) Inwigilowano bohaterów polskiej walczącej (Piłsudski). Gaszono oświatę. Niszczono skarb (Żyrardów). Ośmieszano Polskę wobec świata (list Poincarégo do ligi praw człowieka i obywatela) i przegrywano na forum międzynarodowym (Jaworzyna, Gdańsk, Klajpeda i t. d.), jak to czynią gracze, którzy nic nie mieli do stracenia, bo to, co tracili, mianowicie Polskę, otrzymali „za darmo“.

Ale pan Witos stracił w oczach całej Polski.

Nawet ciemny chłop zaczął kłać.

Trzeba więc było odrabiać tę chłopską kłatwę, na której Witosowi powinno było najwięcej założyć, choćby tylko z racji jego chłop-s-kości...

Natychmiast po upadku—rozwinął Witos akcję celem utworzenia nowej większości. Z uporem człowieka, zgranego w karty polityczne, które zawsze mogą dać upragnioną „dziewiątkę“ (1 plus 8)—począł stukać palcem wskazującym do krakowskich wrót.

— Kto tam? — zapytały „stańczyki“....

— To ja, Witos, z propozycjami:

a) utworzymy stronnictwo agrarno-ludowe,

b) przeniesiemy stolice na Wawel, pod Wawel.

Ale nic z tego nie było. Po tem przyszły „Targi poznańskie“, potem „skargi wszechpolskie“ i pojawiła się koncepcja „amerykańskiej jazdy“ (mit. Hamerling), ale ją Bryl zniekształcił swą gotowością dążenia w te-pedy....

Trzeba było wracać „na wieś“, wracać „do wsi“. Trzeba było się przeoblec po staremu, po dawnemu—i odrabiać „chłopską kłatwę“, tę, co to jak „psia mać“, czy „psiakrew“ zawisła nad głową byłego premiera, co za daleko odszedł od wsi do miasta.

I Witos wziął się już do roboty wiejskiej na nowo. Nie znaczy to,

aby osobiście orał i siał, bo na to trzeba by było Tolstojem, któremu się w głowie „nie przewróciło“... nawet po napisaniu „Wojny i pokoju“ i „Anny Kareniny“, czy „Zmarłychwstania“, o którym się naszemu wójtowi nie śniło nawet pod wpływem Baczewskiego autora niejednej polskiej tragedii... z różnych dziedzin, nie wyłączając politycznej...

Dzisiaj Witos objeżdża wsie w Małopolsce. Tam właśnie, gdzie ongiś biegł na bosaka i jeździł na partyjnym rowerze „w kapeluszu“, przyozdobionym w wiewiór czy ogon. Było to imponujące ładnie i wzruszająco odważnie.

Tak po swojemu, „po naszymu“ „po wiejsku“.

Dzisiaj Witos jeździ bez „wiewiórczego ogona“, ale ciągnie się za nim długi ogon kłesk społecznych do których on niestety, przyłożył rękę i pieczęć wójtowską, tak denuncjonowaną przez kmiecie, co czytać nie potrafi.

Dowiadujemy się, że wiecie robione przez Witos po wsiach, poświęcone są usprawiedliwianiu się b. premiera. Cóż mówi Witos?

— Bracia!... — powiada — czyż ja jestem waszym zdradą? Nie! Chciałem waszego dobra. Chciałem abyście otrzymali ziemię. Chciałem iść z lewicą, ale oni nie chcieli. Więc musiałem iść z prawicą. Wtedy mi przeszkadzała lewica. Musieliśmy ustąpić. Ale gdy by rząd mój potrwał dłużej—wtedy napewno przeprowadziłbyśmy wszystkie reformy, a głównie reformę rolną. Racja, czy nie?

— Racja! — kiwają głowami chłopcy.

— Może i racja — potakują baby...

A Witos ciągnie dalej:

— A wiecie, dlaczego w Polsce jest źle? Zboże jest tanie. Nic sobie kupić za nie niefosob. Chłopi pracuje od świtu do zmroku—i bledą klepie. A robotnik odrobi sobie „takie“ 8 godzin—i już do góry pepkiem się kładzie, a zapłaty, mościowy, żada nie byle jakiej Stąd drożyzna. Robotnicy pracują mało, a żadają płacy bogatej. Czy to może być?

— Sprawiedliwie! — gadają chłopcy.

— Wiadomo! — rechoczą baby...

I po przemówieniach Witos rozchodzą się pocziwe kniotki, pogadując sobie na temat: „może to i racja“.

Ta robota Witosowa — jest to na razie odrabianie „straconej wsi“. I instynkt samozachowawczy i właściwy Witosowi: „chłopski rozum“ odpowiedział mu, że chcąc się obronić przed utratą mandatu, trzeba zacząć od spodu i na nowo porwać „wieś“. Aczkolwiek wpływy Witos na wsi strasznie zmalały po jego rządach—to jednak nie znaczy, aby ich wcale nie miał.

Witos jest doskonałym agitator-em, umie trafić chłopu „w rozum“, a nawet w serce i co ważniejsze w kieszeń... I trafia.

Tam, gdzie agitatorzy Witos nie mogą sobie „z ludkiem“ dać rady—tam Witos uśmierza swą chłopskością. On umie wpajać. Poza tem polysk jego premierowskiego bata imponuje chłopu polskiemu (zwłaszcza mało-polskiemu) nawet wtedy, gdy dostaje tym batem kopniaka (symbolicznego).

Tylko czekać, jak Witos przyjdzie do seimu (na jesieni, po „żniwach“ w polu, w Warszawie, w Krakowie, Poznaniu itd.) z nową koncepcją rządową. Tymczasem odrabia i obrabia wieś i załatwia porachunki osobiste. Miedzy inn. i minie tak skromnego publicystę, pociaga do odpowiedzialności sądowej za oszczerstwo, które, jak powiada w skardze wystosowanej do warsz. sądu okr.—„przeszkadza mi w spełnianiu obowiązków“ (prawdopodobnie poselskich). Właśnie wczoraj uprzejma policja wręczyła mi sądowe zawiadomienie, że Witos żada, aby niżej podpisanemu wymierzono sprawiedliwość (zamiast „kawalka ziemi“ z racji... parcelacji, oczywiście do obsiania, a nie na spoczynek).

Tadeusz Wieniawa-Długoszowski.

„Biali“ indjanie w Panamie.

Ekspedycja Marsh - Darien, która rozpoczęła podróż swa dnia 1-go lutego b. r. odkryła dziwny szereg białych indjan w puszczy wschodniej Panamy. W przyszłym miesiącu ekspedycja wraca do New Yorku i zaprezentuje króla darwiskiego i dwóch białych indjan.

Kilka tygodni temu nadeszła wiadomość, że inżynier O'Marsh, który podróżuje po Panamie odnalazł gdzieś w głuszy iei puszczy szereg białych indjan. Wiadomość ta brzmiała jak następuje:

— Biali indjanie. Przywioze chłopca, lat 19 i dziewczynę, lat 20. Ludzie ci mają złote włosy, niebieskie oczy, białe ich ciała pokryte jest białym mlekkiem włosiem. Nie są to albinosi! Ludzie ci czynią wrażenie pierwotnych białych szczenów. Odnalazłem kilka odmian tych indjan i szczerki starej cywilizacji. Przywioze etnograficzne zbiory i kinematograficzne zdjęcia.

Ekspedycja ta, w której biera udział prof. z Smithsonian Institut w Waszyngtonie, L. Vaer, profesorowie D. C. i C. M. Breder z American Museum for Natural History i dr. H. L. Farrelh z uniwersytetu w Rochester, otrzymy-

wała pomoc aeroplanów amerykańskich, które starały się iść w ślad za wyprawą.

Na początku lutego wszystkie prace przygotowawcze były ukończone i Marsh wykonał pierwszy lot, który wskazał ekspedycji drogę w puszczy tej nieznannej krainy.

Lot ten prowadził ponad dziką dżungla, zaczynając od Balboa w Panamie aż do Javisu przy ujściu rzeki Chucunague, które oddalone jest od Balboa o jakie dwieście mil.

Dziś i nieprzebyte zarośla nie pozwalały na lądowanie. Jest to pierwszy wypadek, że lotnicy wtargnęli tak daleko w dżungle wschodniej Panamy.

Marsh skonstatował, że obecne mapy wschodniej Panamy są nieścisłe. Łańcuch górski wysokości 5.000 stóp oznaczony na mapie nie istnieje wcale—natomiast odnaleziono kilka rzek i skopstatowano, że w głębi dżungli wre zacięta wołna pomiędzy poszczególnymi szczytami.

Rzeka Chucunague płynie przez niekna i żywna dolinę, jedną z najpiękniejszych w Ameryce.

Pierwszym samolotem kiero-

wał Marsh, drugim porucznik Cunv.

Przez cały czas lotu czyniono zdjęcia kinematograficzne, które zostały potem oddane do dyspozycji uczonych i ułatwiły im znacznie ciężkie zadanie.

Pierwsze ślady wolny znaleźli lotnicy w wiosce u brzegów rzeki Bavana. Wszystkie chaty były opuszczone, a rzeka pusta. Znaczyło, że mieszkańcy albo nie żyją, albo też są zabrani do niewoli.

Należy przypuszczać, że ekspedycja przywiezie do Instytutu Smithsonian kosztowne i rzadkie zbiory. Chodzi tu o życie i zwyczaje słynnych indjan z San Blas.

Indianie ci zamieszkiwali wybrzeże Atlantyku i liczne wyspy. Muzeum narodowe posiada już pewną ilość przedmiotów, należących do tych indjan, ale nie wystarczają one do poznania tego ciekawego szczeni.

Powrót ekspedycji oczekiwany jest z niecierpliwością. Urzędnicy terytorium panamskiego, Panam i oficerowie armii Stanów Zjednoczonych oczekują przybycia ekspedycji, która przebywa obecnie w dzikich dżunglach Javisy.

Paweł Benton.

TAJEMNICE MARSA.

Wiosna i zima na Marsie. — Czy są tam inteligentne istoty?

W dniu 23 sierpnia planeta Mars znajduje się bardzo blisko naszej ziemi, mianowicie tylko o... 55 milionów kilometrów. Dla astronomów jest to prawdziwa bagatela, a ponieważ sposobność obserwacji naszego sąsiada z tak bliska zdarza się zaledwie co 15 lat, więc też obserwatoria, poświęcające się badaniom Marsa, przygotowują się do pilnej pracy w nadziei wyrwania niebu niejednej tajemnicy, wyjaśnienia niejednej zagadki.

Utalentowany popularyzator wiedzy astronomicznej, Flammarion, zarzyskował twierdzenie, że pod pewnymi względami znany Marsa lepiei, niż nasza ziemia i mówi, że na ziemi mamy setki i tysiące kilometrów podbiegunowych na obu półkulach, gdzie nie tylko noga ludzka nie powstała, lecz nawet wzrok nie sięgnął. Tymczasem na Marsie wprowadzie zdaleka jednak możemy obserwować oba jego bieguny i badać jak w mroźne zimno roślinie na nich porośnięte, a znikła w upalne lata. Obecnie zaczyna się tam wiosna i jedna z ciekawszych obserwacji będzie badanie, czy okres

zmniejszonej działalności słońca, jaki obecnie przeżywamy, odbija się na Marsie tak, jak u nas spóźniona wiosna; poznamy to po wolnym znikaniu lodów.

Może obserwacje tegoroczne dadzą wreszcie wyjaśnienie co do istnienia owych spornych „kanalów“, których egzystencja byłaby dowodem, że Mars jest zamieszkały przez jakieś inteligentne istoty.

Mars jest planetą prawdopodobnie starsza od ziemi, mieszkańcy jego, jeżeli ich posiada, powinni być więc posunięci w rozwoju znacznie dalej, niż my. Fantazja ludzka smute często pomysł porozumienia się z nimi. Ostatnio wysunął jakiś marzyciel projekt ustawienia na Jungfrau w Szwajcarii potężnej baterii lamp acetylenowych, których światło, odbite od lodowców tej góry mogłoby dosięgnąć Marsa i stać się środkiem porozumienia. Czy jednak marsjanie utrzymują obserwatorów, dających haczenie na sygnały z ziemi? Być może, iż znużyło im się przez tysiące lat czekać na te sygnały (bo są o tysiące lat

starsi od nas), a czekając napróżno, może doszli do przekonania, że ziemia nie jest zamieszkała i dali pokój obserwacjom.

Wszystko wskazuje na to, że Mars nie jest martwą brwią, że na nim, jak i na ziemi, kwitnie jakieś życie. Jak i u nas dzień następuje tam po nocy, zmieniała się pora roku, tylko trwała dwa razy dłużej, niż nasza; dają się zauważyć zmiany w wyglądzie powierzchni, które nasuwały myśl o istnieniu roślinności. Są oczywiście różnice znaczne między różnicami. Mars jest znacznie mniejszy od ziemi: średnica ma prawie dwa razy mniejsza, to znaczy, że z naszej ziemi można by wskrozić osiem takich Marsów. Skutkiem tego siła ciążenia jest na jego powierzchni około trzech razy mniejsza, niż na ziemi; panna, ważąca u nas 55 kilo, byłaby na Marsie znacznie lżejsza, ważylaby tylko 20 kilo. Marsjanie, jeżeli istnieją, są inni niż my. Żywią się inaczej, oddychają inaczej, wogóle mogłoby to być tylko istoty zupełnie od nas różne.

Reemigracja i wychództwo.

Cyfrę eksportu urzędu emigracyjnego w Gdańsku wykazuje, że w kwietniu r. b. liczba reemigrantów do Polski, przybyłych przez Gdańsk, wynosiła 384 osoby. Wzrost ten w porównaniu z danymi z poprzednich miesięcy tłumaczy się unormowaniem się

stosunków w Polsce, co jest dla wychodźstwa polskiego bodźcem do powrotu do kraju. Poza tem drze powrotna na Gdańsk wybierają niektórzy celem uniknięcia podróży przez Niemcy, z powodu b. wygórowanych tam cen biletów kolejowych. Emigracja przez Gdańsk wynosiła w kwietniu 395

osób, z czego przeważna część stanowiła obywateli obcy (287), są to głównie czesi i rumuni, udający się do Kanady. Zamorski ruch wychodźczy polski wyraża się znikoma cyfrą 108, w tem 61 do Kanady, 41 do Stanów Zjednoczonych A. Półn.

CO DZIEŃ NIESIE?

LIPIEC

1

Wtorek

Dziś: Teodoryka.
Jutro: MartynianaWschód st. o g. 3.19
Zachód st. o g. 7.59
Wschód ks. 5.11 pm.
Zachód ks. 6.57 pp.
Dług. dnia 16 g. 49 m.
Ubyło dnia 0 g. 05 m.**Biblioteka Publiczna**, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.**Miejska galerja sztuki**, park im. Sienkiewicza zbiorowa wystawa malarstwa, grafiki i zdonoictwa. otwarta od 10 r. do 8.**Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”**, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska:

Teatr Miejski

w parku Staszica:

„Handel na żony”.

Teatr letni „Scala” w ogródku Variete.**„Casino”**:

„Taniec złota i nędzy”.

„Luna”:

I „W 7-em niebie”.

II „Pat i Patachon w roli fotografów”.

„Odeon”:

„Karuzela życia”.

„Grand-Kino”:

„Zakazane miasto”.

Kino współdz. pracown. państwowych:

„Umierające narody”.

II seria p. t. „Pożar zniszczenia”.

Walka o urlopy.

(i) Właściciel kłalni mechanicznej przy ulicy Pomorskiej, pan Da wid Horowicz, wywiesił na murach swej fabryki ogłoszenie, mocą którego wywolił prace wszystkich robotników.

Po odrobinie robotnicy zwrócili się do niego z prośbą o wypłacenie im wynagrodzenia za urlopy, co właściciel fabryki odrzucił, motywując tem, iż gotówki nie posiada. Po nieudanych pertraktacjach robotnicy zwrócili się do związku z prośbą o interwencję. Przedstawiciel związku, pan Kaczmarek, usiłował załatwić sprawę, lecz widząc nieustępliwość właściciela kłalni, do porozumienia się ze związkami, zatarg przeleżał inspektorowi pracy.

W dniu wczorajszym odbyła się konferencja w inspektoracie pracy z współudziałem inspektora 17 obwodu. Po dłuższych pertraktacjach inspektor pracy zaproponował właścicielowi fabryki wypłacenie urlopów robotnikom w dwóch ratach pod warunkiem, że pierwsza rata będzie wypłacona 3 lipca, zaś druga 10 lipca. Na tą propozycję obie strony wyraziły zgodę.

(j) Dyrekcja fabryki Szwarc i Goldstein, przy ulicy Przedzalnianej, wywoliła prace wszystkim robotnikom, uprzedzając ich dwutygodniem przed terminem.

Po odrobinie robotnicy zwrócili się do administracji z prośbą o wypłacenie za czas urlopów, czego jednak administracja nie mogła skutecznie bez porozumienia się z dyrekcją, wobec czego robotnicy zwrócili się do dyrektora. Ponieważ dyrektor, pan Kraus nie chciał sam decydować w sprawie urlopów, robotnicy udali się z nim do właścicieli fabryki, Panowie Szwarc i Goldstein, po wysłuchaniu delegatów robotników, odmówili ich żądaniom, motywując swoją odmowę tem, iż fabryka była nieczynna przez przeciąg dwóch miesięcy, wobec czego czas ten brakuje obecnie robotnikom do otrzymania urlopów.

Delegaci zaznaczyli, że fabryka Delegaci zdali robotnikom relację z przebiegu pertraktacji, i po wspólnym porozumieniu zwrócili się do inspektoratu pracy z prośbą o interwencję. Delegacje przyjął inspektor pracy 17 obwodu, który obiecał robotnikom zwołanie konferencji w najbliższych

NOS I TABAKIERA.

Porządeczki na kolejach.

Na stacji w Tomaszowie Mazowieckim tłumy. Do pociągu odchodzącego do Łodzi o godzinie 8.20 rano przybyli tłumnie mieszkańcy okolicznych wsi z obfitym bagażem. sporo wycieczkowiczów niedzielnich, wracających do Łodzi i zwykła codzienna publiczność jeżdżąca.

Na stacji w Tomaszowie Mazowieckim sa cztery klasy: jedna dla bagażu, trzy osobowe. Ale na stacji w Tomaszowie Mazowieckim uważaia, że nawet w ponieдельник rano, gdy ruch jest największy, wystarczy jedna kombinowana kasa, w której jeden kasjer załatwia zarówno podróżnych jak i bagaż.

Zajeżdża pociąg, odjazd za 15 minut. Przed kasa tłocz się i dusi około 200 osób. Kobiety mdleją w ścisłości, mężczyźni klną, tej rozdarto suknie, tamtemu podentano walize.

W największym momencie zjawia się przedstawiciel władzy w osobie posterunkowego nr. 1636 i zaczyna robić porządek. W Łodzi policjanci w takich wypadkach mówią „proszę się rozseść”. Nr. 1636 w Tomaszowie z powodzeniem stosuje inne wezwania. Ale bo też ma głos — aż szkoda, że marnuje go w takiej deskamaj zabitej dziurze. Człowiek ten byłby w stanie swoim organem rozpedzić natłumniejszy i najmiesfordniejsz wiec pod gołem niebem w Łodzi. Szybko drża na malej stacyvie i ludzie się trzęsą, ja nr. 1636 przemawia. A co za słowniki...

Jeszcze dziesięć minut do odejścia pociągu. Pan kasjer wydał trzy kwitki bagażowe i sprowadził niewiele więcej biletów. Personel kolejowy pociesza zrozpaczonych, duszących się w niesamowitym polonizie pasażerów, że za trzy godziny będzie drugi pociąg do Łodzi wcale nie gorszy.

Sa jednak tacy, dla których trzy godziny stanowią różnicę i to bardzo poważną. Wielu z nich stara się użyć sposobu, by wykupić bilet. Drżąc przed wzrokiem i głosem numeru 1636, chylkiem przekradają się w poblizkie kasy. Upatruią znajomych i nieznanomych, żebrząc o wykupienie biletu.

Ale pan kasjer przeczuwa kombinację. Dwóch biletów nie sprzedaje. Każdy winien stać w ogonie — tak sady i tak mówi.

Jeszcze 5 minut czasu. Z góru stłu ludzi pozostanie na stacji. A pociąg czeka na chłusienski.

— Panie naczelniku stacji, ja muszę być w Łodzi o 10-ej.

— Proszę bardzo, za trzy minuty odchodzi pociąg, miejsce jest.

— Ale ja biletu nie mam.

— Jest więcej takich.

— Dlaczego pan nie każe otworzyć drugiej kasy i kasy bagażowej?

— Niechaj pan zapyta kogoś na leży, dlaczego redukują urzędników, a budują kasy. Niepotrzebnie tem tylko ludzi denerwują.

— Wobec tego wsiałam do wagonu bez biletu.

— Zapłaci pan poczwórnice.

— Niezapłać, bo pan chyba zaświadczy, że o kupieniu biletu mo wv być nie może.

— Może zaświadczyć, ale to na nic się nie przyda, bo dawno już zniszono zwykła zaplate za bilet w pociągu no uprzedniem zgłoszeniu.

— Dziękuję panu naczelnikowi.

Sygnał. Pociąg rusza. W tłumie przed kasa zakotłowało się. Kilkunastu ludzi szturmuje peron, kilku przesadza barierę, odpięra-

ja z powodzeniem ataki służby kolejowej. Zaczyna się wścig i skakanie do wagonów. Numer 1636 usiłuje robić porządek. Nie ma jednak kilkunastu rak. Jednego i drugiego, przylepionego już do rozpedzonego pociągu łapie za nogi i bez ceremonii ściga na peron. Na szczęście oberzło się bez katastrof i odlepił w ten sposób kandydat na pasażera nie dostał się pod koła.

W wagonie zjawia się konduktor. Starszy, poważny i wyiaikowo taktowny człowiek.

— Proszę o bilet!

— Nie mam, niestety!

— Trudno, to pan zapłaci.

— Bardzo chętnie, ale bez kary.

— To pan musi wysiać na najbliższej stacji.

— Jechać muszę, nie zawiniłem, bym miał płacić karę, wobec tego pozostane w wagonie, chyba, że pan użwie silw.

— Proszę o legitymację lub dowód osobisty, porozumiem się z kierownikiem.

Pan kierownik pociągu widocznie zgodził się, by sprawa została załatwiona na miejscu w Łodzi, bo po pewnym czasie konduktor przyszedł z zawiadomieniem, że dowód osobisty jest do odebrania u zawiadowcy stacji Łódź-Fabryczna.

Pociąg zajeżdża na peron łódzki. Zwykle piekło, tłok i rwetes przed drzwiami wycielowemi, zatarasowanemi do połowy dla ułatwienia przejścia.

— To pan iechał bez biletu?

— Tak panie, zawiadowco.

— Zapłaci pan karę... 15 złotych 80 groszy.

— Jeżeli nie kupiłem biletu, to nie z moiej winy, karę nie zaplać.

— To pan zapłaci w sadzie z kosztami.

— Być może.

— Powinien pan być w Tomaszowie czekać na następny pociąg.

— Musiałem być w Łodzi, chodzi o ważny termin.

— Na kolej niema ważnych terminów. Przedewszystkiem sa przepisy.

Nawet do umierającego bez biletu, względnie bez karv iechać nie wolno. Przepisy musimy szanować, inaczej w Polsce nigdy do brze nie będzie.

— Może pan ma rację.

Skończyło się na spisaniu protokółu, który ma być przesłany do sądu dla wydania wyroku, zaszadziającego karę pieniężną na rzecz kolei.

Sad prawdopodobnie karę zaszadzi, bo przecież chodzi tutaj o deficytowe koleje państwowe, które za wszelką cenę pragną powiększyć dochody — nawet przez wprowadzenie azjatyckich i sprzecznych z elementarnem poczuciem prawa przepisów.

Pociąg do połowy pusty odchodzi ze stacji, a na stacji bez biletu zostaje 100 ludzi. Naczelnik stacji na wszystkie ma jedną odpowiedź: redukcja, a innw znów przepisy kolejowe uważa za konstytucję. Mając do dyspozycji numer 1636 władze kolejowe na każdym kroku i istic wynaturzonym zamilowaniem znęcają się nad publicznością, zapominając, że nie publiczność dla nich, ale one sa dla publiczności.

Tylko sady, do których pozbawiona wszelkich praw, drogo placaca za bilet publiczność, od czasu do czasu uda się pod opiekę, mogłyby uzdrowić te stosunki i koleje nasze z pożytkiem dla ogółu zeuropelzowane.

Psia manja.

W ostatnich latach ludzie formalnie zachorowali na psia manję. Nietylko na ulicach naszego miasta spacer odbywa się w towarzystwie piesków różnej rasy i masei, niezapatrzonej w kagańce, ale i do cukierni, do restauracji, nawet na odczyty i do kina idzie się z całą sfora niesfordnych psiat,

wyczochrujących swe pochły na posadzke i meble.

Pod względem higienicznym jest to zjawisko wprost okropne.

Należy zważyć, że psy prócz pochły mają wiele pasożytów i z tego powodu wszelkie całusy i zbawne pieszczoły z psami sa dla zdrowia bardzo niebezpieczne.

Zycie i sąd.

Tajemniczy arszenik.

W swoim czasie pisaliśmy o szernie o budacym odrazie czynie, popełnionym przez niejaką Józefę Stefańska, której zarzucano otrucie pasierbica arszenikiem.

Stefańska oskarżyl o dzieciobójstwo ojciec zmarłych dzieci, a drugi mał oskarżonei, wedle zeznań którego macocha miała się pastwić nad jego dziećmi, bedacemi kością niezgody w małżeństwie.

Jakkolwiek lekarz szpitalny wydał akty zejścia, podając za przyczynę śmierci dyfteryt, ojciec już pogrzebanych dziewczynek zażądał ekshumacji zwłok, celem dokonania sekcji.

Sekcja wykazała we wnetrznościach ofiar znaczne ilości arszeniku.

Wobec tego Stefańska aresztowano i stawiono przed sadem okregowym, który skazał oskarżoną na 15 lat ciężkiego więzienia, uznając, iż winą jej jest dowiedziona.

Do skazania oskarżonei najbardziej przyczyniło się zeznanie służacej Stefańskich, Józefy Pałki.

która stwierdziła, iż w dniu, kiedy dzieci zachorowały macocha dała jednej z dziewczynek rano rozkrajana bułkę, posypaną jakimś białym proszkiem, zaś drugiej dziewczynce w porze obiadowej kawalek chleba, posypany w podobny sposób.

Dzieci iadły niechętnie, skarżąc się, że pieczywo jest gorzkie. Nad to wedle tychże zeznań,

gdv dzieciom zrobiło się niedobrze, otrzymały one od Stefańskiej herbatę z sokiem, na której miało pływać również coś białego.

Świadek Pałkówna zeznała, iż oskarżona, która ma swoje własne dziecko z pierwszego małżeństwa, wyraźnie wyróżniała je z krzywdą dla dziec meża, które byłv niewierane i bite.

Od wyroku sądu okregowego skazana odwołała się do sądu apelacyjnego, który wyrok uchylił, zmniejszając karę do 10-ciu lat ciężkiego więzienia.

Do złagodzenia karv przyczyniło się wiele okoliczności łagodzących. Stwierdzono, że macocha obchodziła się z pasierbiami zupełnie dobrze i że bite były one nie przez nią, ale przez ojca.

Skazana, która rozchorowała się poważnie na serce, odwołała się do sądu najwyższego.

Wyrok II-ej instancji został róż-

wnież uchylony i sprawa przekazana została do ponownego rozpatrzenia przez sąd apelacyjny.

którv onegdai przystąpił do procesu.

Przewód adowy tanał przed głe boka tajemnica. Ustalono kilka ważnych okoliczności, stwierdzono w materiale dowodowym okoliczności nader zagadkowe. Okazało się, iż

w obiektywizm najważniejszego świadka Pałkówny wierzyć nie można, gdv łączvty ia z Stefańskim stosunki, przekraczające miarę zwykłych stosunków wzgledem chlebobawcy.

Dziwnie również wydawać się musiało skonstatowanie przez sekcie we wnetrznościach ofiar, które chorowały kilka dni, tak olbrzymiej ilości trucizny, że zdolna byłaby ona zatruci kilkanaście osób. Co najważniejsze obrońcy udało się wykazać, iż analiza chemiczna części wnetrzności, znajdujących się w sfoju, nie była przeprowadzona z zachowaniem należnych ostrożności, sioje były niezapiecztowane i różni ludzie mieli do nich przystępi, co więcej

przv analizie obecny był Stefański.

Świadkowie o podsadnej wydadli bardzo pochlebne świadectwo, jako o osobie, która swe obowiązki w małżeństwie, nie bedacem szczęśliwym z powodu postępowania Stefańskiego, pełniła z największym oddaniem.

Adw. Berland w długiej mowie obrończej wykazał zupełny brak interesu ze strony oskarżonei w usmierceniu pasierbica, podkreślając

dziwna załadłość w zeznaniach Pałkówny i meża oskarżonei.

Jako rys charakterystyczny Stefańskiego obrońca przytoczył fakt, iż jeszcze przed prawomocnością wyroku, jak sam przyznał, na grobie córek postawił tablicę, głoszącą, iż dziewczynki otrute zostały przez macochę.

Sad apelacyjny ogłosił wyrok, uiewinniając oskarżoną.

Usłyszawszy wyrok Stefańska, która przesiedziała rok w więzieniu pod strasznym zarzutem

porwała krucyfiks i rzuciwszy się na kolana poczęła z płaczem głośno modlić się, błogosławić sędziów, poczem wpadła w atak nerwowy.

Wrażenie wyroku wśród publiczności olbrzymie.

Krwawa rozprawa nocna na noże.

(8) Nocy onegdaiszej lokatorzy domu przy ul. Wólczańskiej 146 zostali nagle obudzeni nieładzkimi wprost krzykami, dobywającymi się z głebini ciemnego podwórka.

Jak się okazało przyczyna ich była bóika na noże, która rozegrała się na następującem tle. Do zamieszkałego we wspomnianym domu Jana Wiśniewskiego, jedne go z uczestników krwawej bóiki, przybyło w dniu onegdajszym kilku kolegów, którzy, bedac po wypicie, mżadzili sobie libacje jak się patrzy.

Mimo ciężkich czasów i stagnacji przemysłowej stoly uginały się od „pocieszycielki strapionych” i różnych zakasek.

Dobre towarzystwo bawilo się z początku doskonale, po kilku jednak „kolejkach” atmosfera poczęła się psuć, a kiedy butelki zostały wypożnżone i wódka zrobiła swoje, bractwo zanaguelo odetchnąć świeżem powietrzem i wyległo na ciemne podwórko, gdzie też natychmiast rozpoczęło kłótnie, która szybko zamieniła się w krwawą bóikę na noże.

Dozorca domu, Głowacki Stanisław, słysząc krzyki, podszedł

do awanturników i prosił by się uspokoił, a gdv to nieskutkowało, zażoził zawezwaniem policji. Słyszac te groźbe płani awanturnicy zaniechali bijatyki i o miedzy soba, a rzucili się wszyscy razem na dozorcę, bijac go bez litości.

Podczas bóiki dozorca otrzymał nożem kilka ciosów w głowę, po których runął zalany krwią na ziemię, i tracac przytomność.

Wzbudzeni ze snu lokatorzy, na tuchmiast zawiadomili o zaściciu policję, która pilana bande nożowników zdołała zaaresztować i doprowadzić do komisariatu.

Do rannego dozorcę zawezwano lekarza z kasy chorvch. Po założeniu opatrunku pozostawiono go na miejscu.

W komisariacie okazało się, że pijanymi nożownikami sa: 1) Wiśniewski Jan, Wólczańska 146. 2) Wiśniewski Stanisław, Kilińskie-go 115. 3) Michel Henryk, Juliusza 28, oraz Kartaś Apolinary, gubernatorska 17.

Nożowników odesłano do więzienia, zaś protokół przesłano władzom sądowym w celu ukarania winnych.

Dawne pieczęcie do archiwum.

Min. spraw wewn. poleciło wojewodom zebranie pieczęci oraz odznak urzędowych, pozostałych z czasów zaborezych, oraz z

go, odesłanie ich wraz z odpowiednim spisem do głównego archiwum państwowego w Warszawie ul. Długa nr. 13.

wszexo okresu państwa polskie-

Dziwacy i ludzie nienormalni.

WRÓG LODÓW.

Dymitr Leanowicz, inż. rumuński, zwrócił się do rządu Stanów Zjednoczonych w Ameryce oraz do rządu wielkobrajtywskiego, duńskiego i kanadyjskiego z przedłożeniem projektu stopienia lodów na Grenlandii. Rumuński inżynier stwierdza, że Grenlandia grozi niebezpieczeństwem, iż powłoka lodowa grubości 6.000 metrów zdruzgotuje ją swoim ciężarem, co zarazem spowodowałoby skrzywienie osi ziemskiej.

Nie określając daty, kiedy ma nastąpić katastrofa, inżynier oświadcza, że gotów jest przy pomocy kanału specjalnie na ten cel zbudowanego odprowadzać zimne polarne prądy, a doprowadzać ciepły golfstrom w celu stopienia lodów.

Jak rząd amerykański zapatrzy się na te propozycje, dotychczas niewiadomo.

WRÓG REKINÓW.

Przed kilkunastu laty jeden z wybitnych kupców londyńskich M. D. Beard przedpisał wakacje nad brzegiem Atlantyku. Jego córka oddała się od plaży i została porwana i pożarta przez rekina. Od tej pory Beard wypowiedział rekinom zawziętą walkę. Po oddaniu firmy swoim synom, począwszy od 1912 roku zapamiętał się mściciel nie zaniechał ani jednej okazji dla uśmiercenia tych szkodników morskich. W licznych swoich podróżach łowił znaczne sumy na fachu w łowców i harpunerów, odbywając w ich towarzystwie wycieczki na rekiny. Wówczas szczelnie uśmierconych potworów składał w specjalnym muzeum, jakie założył w swojej willi pod Birkenhead. Niedawno ojciec ofiary wypadku obchodził „jubileusz” uśmiercenia 50-go rekina. Na uczcie wydanej dla przyjaciół zapewnił, iż o ile śmiertelnie nie stanie mu na przeszkodzie, powtórzy ucztę przy zabiciu 100-go rekina.

ZAMASKOWANA KWIACIARKA.

W śródmieściu Londynu, na nieznajmym ruchliwym Piccadilly Circus, zwracała w tych dniach powszechną uwagę stojąca na rogu jednej z ulic dystrygowana niewiasta, sprzedająca kwiaty.

Tworząc kwaciarkę okryta była maską, a na piersiach wisiała tabliczka z napisem: „Nie nie pozostać mi innego. Odebrałam mi emeryturę. Jestem wdową po słynnym korespondencie wojennym Bennecie - Burleighu. Trzech moich synów, oficerów, zginęło podczas ostatniej wojny.

Oczywiście, napis ten wystarczył, aby zamaskowanej kwaciarce zapewnić szwaka sprzedawcy kwiatów.

TYLKO W WIEZIENIU CHCE SPĘDZIĆ ŻYCIE.

Polak, Jan Michałowski, stał się mieszkańcem Nowego Yorku, wziął osobliwy rekord. W ciągu 36-letniego pobytu w Ameryce był aresztowany ledwie 105 razy i to zawsze za burdy różnego rodzaju. Jan Michałowski unosił sobie życie w więzieniu, na wolności czuł się źle i nieswojo, wpadał wlec w nałogowy humor i przetracał bliznim gnaty, tak po swojsku, po mazursku.

Zamknięty zaś w areszcie stał się pokornym barankiem, stosując się z podaniem do regulaminu więziennego, zyskiwał sobie zaufanie dozorców, którzy nadziwili się nie mogąc, iż taki porządny człowiek, może być aresztantem.

Zamiłowanie do życia więziennego jest tak głęboko wszczepione w duszę tego człowieka, iż sprzecza się z sędziąmi, jeśli zbyt łagodnie zapatrzy się na jego winy.

Wypuszczony na wolność, urządził zaraz awanturę, a specjalność jego jest wszczynanie burd w szynkowniach, które kończą się zazwyczaj krwawo i powodują wybitnie kilkudziesięciu lub kilkunastu szwów w oknach.

Chłuba mazurskiego temperamentu, Jan Michałowski, liczy dopiero lat 74.

ZBRODNIARKA BIERZE REKORD PZEPYCHU I MODY.

W Chicago odbył się sensacyjny proces sądowy, wytoczony Belwie Gaertner o zamordowanie kochanka Waltera Law, człowieka żonatego i ojca dzieci. Lecz największe sensacje dostarczała pod sądne stołem, w jakim zasiadała ławie oskarżonych. Sprawozdawcy zapewniają, że pod względem wytworności toalety, pani Gaertner pobili rekord wszystkich zbrodniarek na świecie, jakie kiedykolwiek stawały w sądach. Miała na sobie elegancki kostium z paryskiej pracowni Wortha. Głowe jej zdobił kapeluszy słomkowy ostatniej mody, na rękach miała śnieżnej białości reniferowe rekawiczki, wytworne lakierowane pantofelki ze srebrnymi wstawkami kamieniami, monogramami, służacymi, jako sprzączki, a jedwabne pończochy koloru szpizu, dopełniały gustownej i niezmiernie wytwornej całości. Gaertnerowa przynosiła się do zastrzeżenia Lawa w czasie piątki w gabinecie restauracyjnym. Robiła wrażenie lwicy wielkopolnej. Wyrok jeszcze nie zapadł, lecz opinia głosi, że elegancka przyspłodzi dożwrotniem więzieniem.

ŻONA POETY I FILOZOF.

Słynny poeta i filozof angielski, Tomasz Carlyle, był synem mularza. Znana była jego szorstkość i okrutny egoizm.

Ożenił się ze swoją uczennicą, miss Welsh, która uwielbiała jego geniusz i służyła mu wiernie do końca życia.

Carlyle ożenił się z nią „dla miłości” jak sam mówił, przystępnie była ładna i wesola i małżeństwo to uwolniło go od materialnych kłopotów.

Była również bardzo wykształcona i pragnęła z całego serca być jego duchową współpracowniczką.

Ale wkrótce po ślubie genialny poeta, który tak potępiał „suchy egoizm” swoich współczesnych, zrobił ze swojej żony sługę, kazał jej szorować podłogi, jak to robiła jego matka i piec chleba, bo kupny sprawiał mu „kwas w żołądku”.

Carlyle ubóstwiał milczenie. „Milczenie jest to żywioł w którym tworzą się wielkie rzeczy... należy wznosić ołtarze dla milczenia i samotności”.

Wielki filozof nie znosił żadnego hałasu, zawiódł swoją żonę na wieś i kazał usunąć wszystkie zwierzęta... Wkrótce samotność stała się jeszcze zupełniejszą, gdyż z powodu dokuczała i obelg Carlyla, wszystkie służące pocięły kły.

— Jeżeli każe zrobić żupę z kamienia, można mi podać żupę z kamienia! — wołał, chcąc utwierdzić raz na zawsze swój autorytet domowy.

Pozostała tylko jedna wierna i cierpliwa służka: żona. Znosiła pokornie biedy i tysiączne przykrości.

Ale po kilku latach takiego życia, pani Carlyle straciła urodę, jej ręce stały się szorstkie, odzież zaniedbana.

Wtedy jej mąż stał się sławnym. Ale, jak dawniej, mikał ludzi, nie przyjmował nikogo. Jednak lady Ashburton weszła przemocą i zaprosiła go do swojej rezydencji w Bath-House. Wtedy Carlyle spostrzegł, że żona jego gorzej wygląda od innych dam i to go gniewało; zresztą lady Ashburton nie ukrywała przed panem Carlyle, że jej obecność jest zbędna w Bath-House.

Wkrótce biedna kobieta wpadła w nerwową chorobę, na którą zmarła. W czasie choroby Carlyle poświęcał jej wspaniałomyślnie 20 minut po południu. Pisał w swoim pamiętniku: „Czuła ta droga i szlachetna dusza, że ta chwila jest słońcem jej dnia, kwiatem jej pracy całego życia”.

Dopiero po jej śmierci poznał, co stracił i oenił ciche poświęcenie i miłość tej kobiety.

HODOWLA SZCZURÓW.

Jak donoszą z Grazu do „Neues Wiener Journala”, mieszkańcy jednego z domów ulicy Bürgergasse, położonej w śródmieściu, zaalarmowali, ukazując się w sieniach i na schodach tego domu coraz większej ilości szczurów. Doszedłszy wreszcie, że szczury te rozlażą się z lokalu, zaalarmowali przez pończoszniarkę, Aurelie Mayer, zaalarmowali jej współlokatorów zawiadomili o tem policję.

Wydelegowano zatem na miejsce komisję śledczą. Zaledwie jednak pończoszniarka otworzyła komisyjny drzwi swego mieszkania, składający komisję urzędnicy cofnęli się przerażeni, rzucili się bo wiem na nich dosłownie setki białych szczurów.

Biedni delegaci wprost nie mogli opędzić się natrętnym stworzom, włączając im na ubrania, co widząc, pończoszniarka rozsywała na podłogę kilka kilogramów kukurudzy i wówczas do piero wychowankowie tej gromadnie pośpieszyli do strawy.

Zanytana, skąd posiadała taką mnogość szczurów, Mayerowa oświadczyła, że otrzymała niedawno w podarunku trzy białe szczury i że stworzenia te rozmnożyły się tak szybko, iż obecnie posiada ich i wychowuje trzysta sztuk!

Oczywiście, policja położyła kres tej hodowli szkodliwych gryzoniów.

MAŻ 29 ŻON.

Do Nowego Yorku przybył obecnie w odwiedzinach jeden z najbogatszych chińskich bankierów Hong - Tong. Żółty ten krezus chweli się tem, że posiada 29 żon, a ze wszystkimi żyje spokojnie i w jaknajwiększej przyjaźni. Chińczyk oświadczył, że system jego jest o wiele praktyczniejszy, aniżeli postępowanie amerykańskich małżonków, którzy rozwodzą się z jednymi żonami, aby móc poślubić inne. Rozwiedziony mąż musi żonie płacić wysokie alimenty, podczas gdy 29 żon chińskiego milionera, z resztą każdą zażnuje osobne mieszkanie, stawiają bardzo skromne żądania, ponieważ obawiają się, że ich pan i małżonek zechce się z niemi rozwieść.

Bankier oświadczył, że nie byłby wcale od tego, by swoją kolekcję powiększyć jeszcze przez jeden piękny okaz, ponieważ pomimo 55 lat i 29 żon, zachował pełną rzeźkość ciała i pełnię sił żywotnych.

18 - LETNI BIGAMISTA.

18-letni Rudolf Alloco, mieszkający jednego z większych miast Stanów Zjednoczonych, stanął nie dawno przed sądem, oskarżony o dwużeństwo.

Wraz z nim była w sądzie jego żona „nr. 2”, 16-letnia Tessie Paternelli, która oświadczyła, że wyszła za mąż za Rudolfa, wiedząc, iż jest już żonaty, ponieważ żona „nr. 1”, jej najlepsza przyjaciółka, nie kochała go i nie chciała go całować.

Oba małżeństwa zostały zawarte w ciągu zeszłego roku.

„Żona nr. 2” ze łzami w oczach prosiła o łaskę dla męża, ale sędzia nie dał się zmieknąć i posłał Alloco do więzienia, gdzie tymczasem będzie oczekiwał na wyrok.

„Być bigamistą w 18-ym roku życia, to już zawiele”, powiedział sędzia.

ŚWIECA ELEONORY DUSE.

Zmarła niedawno słynna aktorka włoska Eleonora Duse, jeszcze na kilka lat przed śmiercią lubiła układać szczegóły uroczystości własnego pogrzebu. Przyjaciele poczytywali to artystce za dziwactwo, niechętni za chęć reklamy. Ci ostatni mylili się, Duse bowiem, jak się obecnie okazuje, zajmowała się przygotowaniami do swego pogrzebu w ziemnej tajemnicy i zdala od rozgłosu. Tak np. u znanego w Mediolanie fabrykanta specjalistę Antonia Aiello zamówiła i jeszcze przed czterema laty zapłaciła za świecę woskową znacznej grubości i wysokości. Wosk tej świecy kazała przepełnić zapachem pomarańczowego kwiatu, przeznaczając ją zaś dla ustawienia przy katafalku, co też zostało spełnione. Obecnie pachnąca świeca przeszła do zbiorów muzeum sztuki w Mediolanie.

BRAUN

Poludniowa 23
Specjalista chorób
skórnych i wenery.

Przyjm.: 8—10 i pół
1-2. Pn. 4—8.

SANDAŁKI

skończyły, ody,
pantofle domowe
zakapiaszk.
pantofle
Petersilge
Piotrkowska 33.

Zakład Ogrodniczy

O. Brennera

Wólczńska 100

poleca kwiaty sezonowe doniczkowe
i cięte, wianki i t. p. Wieceń od
Mk. 15.000.000. 704-1

PIERRE CHAINE.

Za późno...

Bardzo dużo ludzi (i ja oczywiście należą do ich liczby) kupuje w firmie Sanfield and Sous rekawiczki, krawaty, ubrania sportowe i wszelkie inne rzeczy, których nie dostanie gdzie indziej.

Gdzie indziej można otrzymać sztuki garderoby, która okryje wasze nogi, ale nie beda to spodnie! Można także znaleźć skórzane futerały na ręce, ale nikt nie nazwie tego rekawiczką!

Albo te kawalki materii do owiazywania szwów, czyż można „to” nazwać krawatem?!

Pierwszym warunkiem dobrych rekawiczek, spodni, czy też krawatów jest pochodzenie tych akcesoriów z domu handlowego Sanfield and Sous!

Można śmiało zapłacić tyle, ile sobie Sanfield and Sous życzy, byle tylko otrzymać rzeczy oryginalne. Gdyż wszystko, co sprzedają inni kupcy to tylko plagiat!

Poszedłem owego dnia do Sanfield and Sous po rekawiczki i gdy tak stałem przed stołem i wybierałem, uwagę moją zwróciła zabawna para.

On, człowiek sześćdziesiąt lat, ni o różowych policzkach i białych włosach. Jego otwła figura okryta była kosztownym sukniem angielskim, a króci dradzał mistrzowska reke Sanfield and Sous.

Ona, także już nie młoda o twarzy milej i przewidywalnej, nosiła bardzo skomplikowaną, a tem samem bardzo kosztowną toalete.

Kobieta ta dopytwała się o stroi do konnej jazdy.

Jakkolwiek nie czuła ona wrażeń laskowych kiedykolwiek dośladała innego, niż drewnianego konia, sprzedawca nie mrugnąwszy nawet okiem, począł ją wypytywać: — Czy pani woli amazonkę, czy też pragnie jeździć po mesku?

Pani, która nigdy jeszcze i na żaden sposób nie dosiadała rumaka, zdecydowała się na staroświecka ale za to dystrygowana amazonka.

Materiał był już wybrany, pani przeszła w ręce kilku niewiast, które przy pomocy długich taśm, poczęły wymierzać jej we wszystkie kierunki formalność, której doniosłość przeceniała zazwyczaj każdy klient i każda klientka.

Mój sprzedawca nachylił się nademną i szepnął mi do ucha:

— To iacyś nowobogacy, którzy chcą udawać snobów!

Jak się okazało mój sprzedawca powiedział to, co powiedział zbyt głośno, gdyż mój, gruby starszek usłyszał i zwracać się do mnie, rzekł: — Jeżeli ten młody człowiek chciał powiedzieć, że donioło od niedawna posładam małego, to miał rację, gdyż los uśmiechnął się do mnie dosyć późno. Ale jeżeli chciał powiedzieć, że mój młody człowiek chciał powiedzieć, że donioło od niedawna posładam małego, to miał rację, gdyż los uśmiechnął się do mnie dosyć późno. Ale jeżeli chciał powiedzieć, że mój młody człowiek chciał powiedzieć, że donioło od niedawna posładam małego, to miał rację, gdyż los uśmiechnął się do mnie dosyć późno.

Poczem pocałował mnie za sobą w kark sali i tam mówił dalej: — Gdyby pan wiedział, panie, co to jest za uczucie, posiadać młodą i ładną żonę i nie móc spełnić jej życzeń! W ciągu długich dwudziestu lat czułem sobie wyrzut że nie umiem zdobyć pieniędzy. Ona cierpiała, panie, cierpiała bardzo z powodu tych wszystkich niedz maszego życia.

Wtedy widzieliśmy szczęście w postaci nowego kapelusza czy nowego pierścienia... W niedzielę, gdy spacerowaliśmy w łasku, podziwialiśmy eleganckie amazonki na pięknych koniach...

Moja żona pocieszała się: „Gdy będziesz kiedyś bogaty...” albo: „Gdybyś był bogaci...”

Lata biegły, zestarzelismy się, przybyło nam siwych włosów i zmarszczek i już zrezygnowaliśmy ze szczęścia, gdy wtem fortuna uśmiechnęła się do mnie zupełnie niespodziewanie! Ale iakże późno!

Byliśmy już bogaci, pragneliśmy urzeczywistnić dawne marzenia i syn, jak dzieci, które przez długie lata pożadały ciastek wywiozł z oknem w cukierni i potem, kupując wszystkie możliwe ciastka, by złożyć nareszcie pragnienia swej młodości, tak i my poczelismy nabywać wszystko, czego dawniej nie mogliśmy posiadać.

Posłałem żonę swą do wszystkich instytutów piękności i chiałbym, by uwierzyła, że młodość można kupić! Ach, gdyby mogła była rozpocząć masaż elektryczny o pare lat wcześniej, dałoby się może jeszcze coś uratować z jej urody... Takbym pragnął, by odnalazła w lustrze dawne swe wdzięki.

Mez o lat i zim minęło, a moja żona nie mogła sobie sprawić nowej sukni. Pamiętam jedną zimę, gdy marzyła o sukni z futerzanym kołnierzem i do dnia dzisiejszego zachowała rysunek jej, wycięty z żurnala mody. Każde takie wspo-

mnienie to żal, którego nie możemy ukoić!

Pragnęłam kupić tej sukni i udało mi się w tym celu do magazynu, ale wysłano mnie. Ktoż dziś nosi takie staroświeckie modele!

W tej chwili żona jego wróciła do salonu. Przerwał rozmowę i zawołał: — Moja droga, oto pan, który zainteresował się nami i był tak dobry, że dozwalał mi towarzystwa. Przenaszam... na chwilęczkę... zapłać tylko...

A gdy pośpieszył do kasy, która znajdowała się gdzieś na drugim końcu, ona zbliżyła się do mnie i rzekła: — Pan dziwi się zapewne, że noszę stroi tak nieodpowiedni w moim wieku. Ale czynię to dla mego męża. Jakże byłby szczęśliwy, gdyby lat temu dwadzieścia mógł mi ofiarować te wszystkie fatalaszki! Gdyby dziś oświadczył mi, że już za późno, byłby bardzo nieszczyśliwy! To też wole, by przechodził się uśmiechał, niż gdyby miał się czuć dotkniętym.

Gdy, trzymając się pod ramie, wychodzili z sali, stęszalem jak on, nachyliwszy się do niej, mówił: — Ten pan, z którym rozmawiałem, bardzo miłe zmienił: wziął mnie za twego ojca... (Thymaszyla Et.)